

Wizyta starszej pani jest sztuką jatrzącą. W czasie przedstawienia bardziej fascynuje swoją teatralnością niż poraża grozą. Ale potem trudno o niej zapomnieć, jakoś wewnętrznie uwiera, wzbiera w tobie jak wrzód. Trafia niewątpliwie w coś istotnego, bo drażni i niepokoi. Trafia w jakieś miejsce zapalne, i to zarówno u nas, jak na Zachodzie, ale nie jest łatwo to miejsce nazwać. Już się je chwytą, i znowu wymyka się analizie. Sztuka Dürrenmatta jest spleciona i bogata, nie pozwala się jednoznacznie określić. Ma w sobie coś z koszmaru, z groteski, z mitu. I jeszcze z niemieckiej ludowej baśni. Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsze, że jątrzy i niepokoi. Ale czym?

Güllen jest małym miasteczkiem, gdzieś w środkowej Europie. Było kiedyś bogate i sławne. Tutaj w oberży nocował kiedyś Goethe, Brahms skomponował kwartet, jeszcze dzisiaj baedekery opatrują dwiema gwiazdkami katedrę w Güllen. Były jakieś huty, przemysł, fabryki. Teraz jest bieda z nędzą. Güllen wegetuje. Międzynarodowe ekspresy jak dawniej przechodzą przez Güllen, ale już nie przystają. Dwa razy dziennie staje tylko w Güllen lokalny pociąg. Bezrobotni przychodzą na stację gapić się na pociągi. Od lat nic się nie zmienia, nic się nie stało.

I oto do Güllen ma przyjechać najbogatsza kobieta świata, miliardka, Klara Zachanassian. Burmistrz i nauczyciel przygotowują mowę, już ćwiczy chór i magistracka kapela, bezrobotny malarz kończy transparent. Nie zdąży. Po raz pierwszy od lat przystanął w Güllen międzynarodowy ekspres. Klara pociągnęła za hamulec. Wychodzi na peron, za nią wysypuje się jej świta. Mąż w rybackim stroju z całą kolekcją wędek, ochmistrz, potem chichoczący ślepcy. Służba wynosi kufry, klatkę z lampartem i ogromną czarną trumnę. Czekają na Klarę Zachanassian wspaniała lektyka. Dostała ją z Luwru, od prezydenta Francji. Lektykę wnoszą dwaj gangsterzy, skazani w Sing Sing na elektryczne krzesło i na życzenie miliardarki zwolnieni. Jeden z nich ma na plecach gitarę. Klara Zachanassian jest jednocześnie władczą i ludzką, drwiącą i dobroduszną. Ma przeszło sześćdziesiąt lat, rude włosy i prawie cała jest sztuczna. Prawie cała składa się z protez.

Ekspozycja ma jednocześnie w sobie coś ze złego snu, z ludowej wyobraźni i z sensacyjnego reportażu w brukowej prasie. I jeszcze coś z atmosfery Kafki. Z tej właśnie mieszaniny różnych stylów i elementów, mieszaniny zaskakującej, niepokojącej i dziwacznej, buduje Dürrenmatt swój teatr. Jest w nim nowe połączenie groteski i grozy. Bo już w tym prologu jest groza. Ta starsza pani — ruda, ubrana na czarno i niemal cała z protez — jest jednocześnie współczesną Mojrą, grecką boginią przeznaczenia. Tak przynajmniej patrzy na nią nauczyciel łaciny w miejscowym gimnazjum. Ale Mojra XX wieku jest najbogatszą kobietą świata. I jej życiorys jest tylko w części mityczny.

Klara Zachanassian wychowała się w Güllen. Ojciec jej był murarzem. Został po nim nawet na stacji mały budynek: „Dla Pań i Panów”. Klara była piękna i przeżyła w Güllen pierwszą miłość. Kiedy była w ciąży, kochanek ją rzucił i wzenił się w sklepik. Uciekła do Hamburga. Przegrała proces o alimenty, podstawieni świadkowie przysięgli, że z nimi spała. Dziecko umarło, poszła do burdelu, potem zrobiła karierę. Pierwszy jej mąż był miliardrem. Następni księżmi krwi, sławnymi aktorami i nawet laureatami Nobla. Może kupić wszystko. Przyjechała do Güllen kupić sprawiedliwość.

Pierwszy kochanek czeka na dworcu. Alfred Ill jest w nędzy, jak zresztą wszyscy w Güllen. Ma zbankrutowany sklepik, żonę, dwoje dzieci. Jest sentymentalny, wulgarny i głupi. Jest stary i zniszczony przez życie. Ale güllenńczyk wierzy, że Klara o nim nie zapomni, że potrafi wyciągnąć od niej miliony dla zrujnowanego miasteczka. Klara Zachanassian rzeczy-

wiście niczego nie zapomniała. Razem z Illem odwiedza miejsca dawnych spotkań: lasy za miastem i opuszczoną stodołę. Szumią drzewa i śpiewają ptaki. Ale autor każe güllenńczykom udawać drzewa i naśladować ćwierkanie ptaków. Nadrealistyczna pantomima towarzyszy temu straszemu spotkaniu dawnych kochanków. Ale przez to groteska staje się jeszcze bardziej okrutna. I ciągle to samo drażniące mieszanie stylów. Poetycki koszmarny wywodzi się od Kafki i od surrealistów, ale Dürrenmatt dał mu swój własny, teatralny wyraz.

Klara Zachanassian niczego nie zapomni. W czasie bankietu wydanego na jej cześć przez burmistrza ofiaruje miliard. Połowę dla Güllen, połowę dla wszystkich jego

Ile kosztuje...

Ill się boi. On jeden wie, że miasto przygotowuje się do uroczystego morderstwa. Ale kiedy o tym mówi, nikt go nie chce słuchać, nikt jeszcze w to nie wierzy, nikt nie chce się do tego przyznać, nawet przed samym sobą. Ill chce uciec. Chce wyjechać do Australii. Na dworzec odprowadza go całe miasto. Jeszcze nikt go nie tknie. Jeszcze go nikt nie zatrzyma. Przeciwnie, namawiają go nawet, żeby się pośpieszył, bo pociąg odjedzie.



„Wizyta starszej pani” w Teatrze Dramatycznym

mieszkańców. Miliard za zabicie Alfreda Illa. Przyjechała do Güllen kupić sprawiedliwość. Po czterdziestu pięciu latach. Za swoją krzywdę, za śmierć dziecka, za fałszywy wyrok. Na miejscu są świadkowie, którzy złożyli przed laty fałszywą przysięgę. To właśnie ci dwaj chichoczący ślepcy. Szukała ich po całym świecie, znalazła, kazała im wylupić oczy i skastrować. Odtąd wszędzie ich wozi ze sobą. Para eunuchów jest groteskowa i nierzęczywista. Tak chciał autor. Inaczej scena byłaby nie do wytrzymania.

Güllenczyki odrzucają miliard. Są Europejczykami, są humanistami. W ich miasteczku nocował Goethe i Brahms napisał kwartet. Wolą być biedni. Ale Klara Zachanassian ma czas. Będzie czekać.

W Güllen nic się nie zmieniło. Tyle tylko, że przed sklepikiem Illa postawiono trumnę, na której Klara Zachanassian każe codziennie składać wieńce. Owszem, coś się zmieniło. Wszyscy mają nowe buty. Nowe piękne żółte półbutki ma rzeźnik, nauczyciel łaciny, burmistrz, nawet sierżant policji. Nowe buty ma ksiądz, który w warszawskim przedstawieniu zmieniony został na pastora. I nie tylko ma nowe buty, sprawił nowy dzwon dla kościoła. Wszyscy kupili nowe buty. Na kredyt. Na rachunek. Buty, radio, telewizory. Ill zaczyna się bać. Czuje w powietrzu zapach krwi. Ale przecież nic się jeszcze nie stało. Nikt nie myśli o zabójstwie. Tylko wszyscy ciągle kupują. Kupują wszystko. Na kredyt. Na rachunek.

Ale Ill nie ma już siły odjechać. Jest obezwładniony przez własny strach. Widzi naokoło siebie tysiąc oczu. Czuje się w sieci. Po raz pierwszy zaczyna patrzeć na siebie oczami tamtych. Jest to wielka scena z Kafki.

W Güllen wszystko teraz jest nowe. Nawet Ill ma nowy wspaniały sklep. Na kredyt. Na rachunek. Żona sprawiła sobie futro, córka się bawi, syn kupił nowy amerykański wóz. Wszyscy kupili samochody. Ill był nędznym kramarzem. Postąpił, tak jak wszyscy w Güllen postąpiliby na jego miejscu. Ani lepiej, ani gorzej. Kto by się nie wzenił w sklepik? Potem uważał tak jak wszyscy, że jego wina jest przedawniona. Potem zaczął się bać. Ale teraz się już nie boi. Zrozumiał, że wszyscy już dawno pogodzili się z jego śmiercią. Nawet żona, nawet dzieci. I sam się pogodził z własną śmiercią. Zrozumiał mechanizm. Jeżeli takie są prawa życia, nie warto żyć. I nie można się bronić. Ale Ill nie popelni samobójstwa. Nie chce tamtym ułatwiać wyboru. Muszą wziąć jego śmierć na siebie. Klara Zachanassian kupuje sprawiedliwość za miliard. Ale oni mogą kupić miliard tylko za morderstwo.

Kupią. Kupią wszyscy: burmistrz, ksiądz i sierżant policji, nauczyciel łaciny i rzeźnik. Ale kupią miliard nie za morderstwo. Klara Zachanassian kupiła przecież sprawiedliwość. Ill zostanie zamordowany w całym majestacie prawa, w imię zwycięstwa moralności i ideałów. Przez wszystkich i przez nikogo.

złuje nowa para butów?

Jakżeż mógł się nie zgodzić na taką śmierć!

Gülleńczycy defilują po scenie radośni, uśmiechnięci, weseli. Mają nowe suknie, nowe buty, nowe mundury. *Wizyta starszej pani* kończy się apoteozą, która przypomina do złudzenia finał socrealistycznych sztuk. Gülleńczycy śpiewają i tańczą, powiewają nad nimi sztandary, wznoszą hymn na cześć dobrobytu i sztuki, wolności i pokoju, Rubensa i Klary Zachanassian.

JAN KOTT

Jak wam się podoba?

Gdyby *Wizyta starszej pani* była tragedią antyczną, w drzwiach sklepiu Alfreda Illa stałaby także Klara Zachanassian. Ale w jej oczach zobaczyłby Ill wyrok Mojry. W powietrzu czuć byłoby rzeczywisty zapach krwi. Wybiegłby Erynie i zaszczuły Illa na śmierć. Nastąpiłaby *catharsis*, odczuliśmy ulgę, okrutnej sprawiedliwości stałoby się sadość.

Gdyby *Wizyta starszej pani* napisał Ibsen, Klara Zachanassian wróciłaby do Güllen jako stara żebraczka. Ill spotykałby ją codziennie, nieruchoma i wyschnięta, na rogu ulicy albo przed kościołem. Nie powiedziałaby nigdy ani słowa. Ale Ill nie mógłby wytrzymać jej spojrzenia. Wyz ałby wszystko żonie. Żona odeszłaby i zabrała dzieci. Ill zostałby sam, sam z krzywdą, jaką wyrządził przed laty. Skończyłby samobójstwem. Odczuliśmy ulgę: rachunek krzywd został wyrównany.

W *Wizycie starszej pani* Dürrenmatta rachunek krzywd zostaje także wyrównany. Ale jego ceną jest nowa para butów dla każdego z güllenczyków. W porządek moralny wmieszany został miliard. To o wiele za dużo. I dlatego nie jest to sztuka ani o winie, ani o karze Alfreda Illa. Ani nawet o sprawiedliwości. Nie jest to także dramat obyczajowy z morałem. Jest w tej sztuce groza. I ta groza jest jej współczesnością.

Chodziłem przed wojną do fryzjera na Chmielną. Nazywał się pan Józef, był koltunem, opowiadał pieprzne dowcipy i szmoncesy o Ży-

dach. Ale raz go zastałem bladego z oburzenia. W razurze, która należała do Żyda, po drugiej stronie ulicy, oenerowcy spod znaku Piasseckiego wybili szyby. „My, katolicy — powtarzał — my Europejczycy — powtarzał. — To jest świętostwo”. Przechodziłem tamtędy w parę lat później, w czasie okupacji. Pan Józef przeniósł się do żydowskiego lokalu na drugą stronę ulicy. Miałem już pójść się ostrzyżać, ale mnie ostrzeżono w porę. Pan Józef szantażował swoich dawnych żydowskich klientów.

Oczywiście jest to tylko jedno z doświadczeń, które można odczytać w sztuce Dürrenmatta. Jest w niej coś i z wojennej atmosfery Szwajcarii, która leżała pod bokiem Hitlera. Handlowała, bogaciła się, cóż mogła w końcu innego robić? Była sparaliżowana przez grozę. I na pewno jest w tej sztuce z roku 1956 wiele z klimatu NRF, z gorączkowiej koniunktury i gwałtownego dobrobytu, który przyszedł po trupach.

„Klary Zachanassian nie uosabia ani sprawiedliwości, ani planu Marshalla, ani tym bardziej Apokalipsy”. Tak napisał autor w posłowniu. Może się przeląkł współczesności tej sztuki i jej wszystkich aluzji, zwłaszcza kiedy zabrzmią ze sceny po niemiecku? Może ma rację? Nie chcę ani upraszczać tej świetnej sztuki, ani za wszelką cenę konkretyzować jej metafory. Myślę, że zawarta w niej jadowitość i groza bardziej jest powszechna i bardziej ogólna od wszystkich nasuwających się aluzji. Jest w tej *Wizycie starszej pani* głębokie przeświadczenie, że z ludźmi można zrobić wszystko. I to bardzo tanio, za cenę jednej nowej pary brązowych butów. Przystaną na zbiorowe morderstwo, a kiedy już będą je mieli za sobą, samych siebie przekonają, że zrobili to w imię sprawiedliwości i ideałów. I to jest jedna ze współczesności *Wizyty starszej pani*. Dobrańie ideologii do praktyki. Dobrańie ideologii za wszelką cenę. Nie na rozkaz! Po prostu po to żeby żyć.

Tak się złożyło, że w parę dni po premierze przeczytałem wstrząsającą relację Henri Allega o torturowaniu go przez francuskich spadochroniarzy w Algierze. Piszę o tej książce na innym miejscu. Kiedy czytałem ją, stawały mi przed oczami sceny z *Wizytą starszej pani*. Bo w sztuce Dürrenmatta jest niewątpliwie świadomość, że od trzynastu lat przez coraz to nowy kraj na świecie przechodzi fala tortur. I że za każdym razem torturuje się i zabija w imię sprawiedliwości i najwyższych ideałów. I zawsze güleńczycy się z tym zgodzą.

Warszawska premiera była wielkim wspólnym triumfem reżysera i inscenizatora — Ludwika René i Jana Kosińskiego. Przedstawienie we wspomnieniu zrosło mi się z dekoracjami. Był w nich koszmar, groteska i poetyckość. I jeszcze coś z jarmarku. Ze wszystkich, co widziałem ostatnio, przypominały mi najbardziej inscenizację *Zamku* Kafki przez Barrault. Przedstawienie miało styl. Trzymało w napięciu, bez dłużyzn. Tylko scena z samochodem zabrzmiała mi fałszywie. Była sama dla siebie. I za wiele w niej było z popisu maszynierii. Stuszczałbym także fotografów i dziennikarzy w scenie ostatniej. Było w niej dużo tanich efektów.

Alfred Ill byłby wymarzoną rolą dla Jaracza. Grał on najchętniej małych ludzi, którzy nagle dorastają do wielkości. Byli śmieszni, stali się tragiczni. Aleksander Dzwonkowski w trzecim akcie przypominał mi Jaracza. Myślę, że to jest komplement największy. W ostatniej rozmowie z żoną i burmistrzem był wstrząsający.

Wanda Łuczycka w pierwszych scenach bardzo była podobna do Belli Czajki. Miała jej urok, trochę groźny, trochę śmieszny, trochę irytujący. Potem dopiero stała się niedosiężną Klarą Zachanassian. Ale myślę, że mogłaby być jeszcze bardziej nieludzka, jeszcze bardziej hieratyczna, nawet wbrew wskazówkom autora. Jest przecież tylko przez pół rzeczywista, jest prawie postacią mityczną.

Przedstawienie pokazało wyrównaną grę zespołową, czego się już w Warszawie prawie nie ogląda. Sprawiedliwość wymagałaby, że bym przepisał afisz. Ale po *Wizycie starszej pani* lepiej już nie mówić o sprawiedliwości. Dlatego też wymienię tylko Chmurkowskiego w roli Ochmistrza, Dytrycha, który był świetnym pastorem i Kalinowskiego, który grając trzech mężów miliardarki, za trzecim razem był już do zniesienia. Doskonałą klasę pantomimy pokazała czwórka z „Konia”: Stoor, Nowak, Dobrowolski i Golas.

Wizyta starszej pani jest dotąd najpoważniejszym wydarzeniem tegorocznego sezonu w Warszawie. Podziękować należy jeszcze tłumaczom. Przekład brzmi czysto.

Teatr Dramatyczny m. st. Warszawy, Friedrich Dürrenmatt: *Wizyta starszej pani*. Komedia tragiczna w 3 aktach. Przekład Marcello Ranickiego i Andrzeja Wirtha. Reżyseria Ludwika René. Dekoracja Jana Kosińskiego. Kostiumy Ireny Burke i Anieli Wojciechowskiej. Muzyka: Tadeusza Bairda. Premiera 7 marca 1958.